

Druga strona walki z dopalaczami

6 października 2010

W przypadku rządowej batalii przeciwko dopalaczom mam uczucia mocno mieszane, jednak z coraz większą sympatią zaczynam patrzeć na właścicieli dopalaczowego biznesu, a z coraz mniejszą na rząd. Oczywiście handlarze dopalaczami to osoby często dość podejrzanego autoramentu, jednak nie ulega wątpliwości, że działają w granicach prawa, a poza tym nikogo nie zmuszają do kupowania swoich towarów. Właściciel sieci sklepów z dopalaczami, słynny już na całą Polskę 23-latek, wyczuł po prostu interes i skorzystał z koniunktury.

Trzeba powiedzieć, że nie zaangażował się w biznes nielegalny – i to zasadniczo różni go od handlarzy narkotyków, choć niektórzy próbują tu stawiać znak jedności. Zyskał też moją śladową sympatię, gdy o swoich klientach wyraził się jako o „debilach” – bo też z tą opinią się zgadzam, choć może nie ująłbym jej tak ostro. Wydaje się jednak, że w całej sprawie zapomina się o starej, rzymskiej zasadzie: volenti non fit iniuria – chcącemu nie dzieje się krzywda. Musi ona być brana pod uwagę, zwłaszcza gdy mamy do czynienia z biznesem przecież legalnym! (Znów podkreślam, że dopalacze są tu w innej kategorii niż narkotyki.)

Dlaczego rząd w tej sprawie nie tylko nie zyskuje mojej sympatii, ale wręcz ją traci? Po pierwsze – choć nie jest to najważniejszy powód – gdyż mamy do czynienia z klasycznym tematem zastępczym, czyli – jak to nazywam – przemysłem przykrywkowym. Temat dopalaczy zasilił media na co najmniej kilkanaście dni, przykrywając m.in. sprawę długu publicznego czy partii sztukmistrza z Lublina, choć przecież był od dawna doskonale znany. Nagle jednak zaroilo się od historii biednych nastolatków, którzy pożegnali się z życiem po wypiciu tego czy innego specyfiku, premier zwołuje narady, ministrowie karnie

stają w ordynku. Słowem – komedia w stylu Putinowskich narad ze swoimi ministrami, transmitowanych na żywo przez telewizję. I – proszę wybaczyć – trzeba być naprawdę ciężkim idiotą, żeby tego nie dostrzegać.

Powie ktoś – a jest to argument ważki, przyznaję – że przecież jednak chodzi o ważną sprawę i nawet jeśli mamy do czynienia z przemysłem przykrywkowym, to jednak skutek jest ważniejszy. Jest tylko jeden problem: ocena sytuacji zależy od tego, czy uznajemy, że cel uświęca środki oraz czy potrafimy sprawę ujrzeć w szerszym kontekście: podstaw państwa prawa i wolności.

Proszę zerknąć tutaj. TVN24 przedstawia historię właścicielki sklepu z dopalaczami, która odmówiła jego zamknięcia. Muszę przyznać, że jestem całym sercem i rozumem po jej stronie. Wszystko wskazuje na to, że z prawnego punktu widzenia pani ta miała rację. Ta niepozorna historia pokazuje, w jaki sposób rząd Tuska postanowił przeprowadzić swoją pokazową akcję. Decyzja odbita na ksero, nieprecyzyjne sformułowania, bezzasadne żądania inspektora sanitarnego, który ewidentnie nie ma podstaw, aby domagać się zamknięcia placówki. Owszem, cel – w oderwaniu od politycznego kontekstu – jest szczytny, ale metoda bardzo niebezpieczna. Jeśli rząd w takiej sprawie decyduje się na prawną jazdę po bandzie – co stwierdza zresztą nawet sam premier – to kto da nam gwarancję, że w podobny sposób z czasem nie zajmie się innym biznesem, który mu się nie spodoba? Albo choćby niewygodnymi mediami?

Czy można sankcjonować i pochwalać bezprawie tylko dlatego, że cel wydaje się słuszny? Tu dochodzimy oczywiście do sfery filozofii państwa. I muszę powiedzieć, że znacznie bardziej martwi mnie i niepokoi państwo, które dla doraźnych, propagandowych (choć może i słusznych) celów ucieka się do arbitralnych prawnych trików niż takie, gdzie każdy odpowiada za swoje wybory, sklepy z dopalaczami mogą działać, ale wolność jest dobrze chroniona.

Dlatego owszem, czekam na jasne i precyzyjne prawo, dotyczące dopalaczy, ale na razie, póki go nie ma, kibicuję właścicielce sklepu z Rudy Śląskiej. Paradoksalnie to ona dzisiaj symbolizuje obywatelskie prawo do wolności.

Autor: Łukasz Warzecha

Źródło: [Niezależny Serwis Informacyjny](#)